

Tymczasem pozycja naszej reprezentacji już w roku 1972 była w Europie wysoka. Liderowała reprezentacja RFN, wciąż w czołówce plasowali się piłkarze angielscy, włoscy i radzieccy, ale Polska była siódma w tym towarzystwie. Wygrywała nie tylko na Olimpiadzie. Zwycięstw było w sumie dziewięć, dwa remisy i tylko jedna przegrana z Bułgarią w Starej Zagorze. Trener Górski spełniał dane obietnice. Kapitan naszej reprezentacji Włodzimierz Lubański ufał mu bezgranicznie. Był przekonany, że w Monachium nie powiedzieliśmy ostatniego słowa. Jesteśmy w stanie zbudować jeszcze lepszy zespół. Z Anglią i Walią w eliminacjach mistrzostw świata powalczymy jak równy z równym. Wieszczę słowa kapitana.

Wysoko wygrany mecz z Czechosłowacją również kibiców i dziennikarzy utwierdzał w przekonaniu, że styl pracy z reprezentacją zaproponowany przez Kazimierza Górskiego jest dobry i nie ma potrzeby go zmieniać. Tylko doskonalić i... zachować priorytet reprezentacji! Umocnić, rozpowszechnić i wzbogacić te wszystkie wartości, które już zdały egzamin. Olimpijski sukces bez interwencji dętej propagandy sam z siebie zrodził dotychczas niespotykane (ukryte?) zainteresowanie futbolem. Rojniej i gwarniej było teraz nie tylko w klubach, ożywiły się także podwórka, szkolne boiska i zielone błonia. W całym kraju znowu organizowano turnieje „dzikich drużyn”.

Z meczu Polska – Czechosłowacja z Bydgoszczy do Warszawy wracałem w towarzystwie red. Stefana Grzegorzycyka ze „Sportowca”. Już na początku lat sześćdziesiątych marzyło się nam wydawanie w dużym nakładzie pisma typowo piłkarskiego. Szło to topornie. Pierwszym udanym krokiem w tym kierunku było redagowanie miesięcznika „Piłka Nożna”. Specjalny numer olimpijski w nakładzie 100 tysięcy rozszedł się błyskawicznie. To dobry znak. Trzeba powrócić do pomysłu sprzed lat. Otworzyłem butelkę szampana i przed wzniesieniem toastu za udany dla futbolu rok 1972, zagadnąłem Stefana:

– Pamiętasz nasze młodzięcze marzenia? Jest szansa właśnie teraz je zrealizować. Klimat jest dobry, mamy złoty medal olimpijski. Czesi zdeklasowani. Za pomyślność naszych marzeń!

Na powołanie nowego pisma nie mieliśmy jednak żadnego wpływu, nawet pozycja Młodzieżowej Agencji Wydawniczej i PZPN była na to za niska. O wszystkim decydowała – tak to się wtedy mówiło – „wola polityczna” wyżej postawionych decydentów z Zarządu Głównego RSW „Prasa” i oczywiście Biura Prasy KC PZPR. Tam „najlepiej” wiedziano, co jest dobre, a co złe. Nie czekając na odpowiedź, kuliśmy żelazo póki gorące. Moje ambicje były tu szczególnie duże. Sądziłem, że – jeśli cel osiągniemy – zdołam w ten sposób nieco utrzyć nosa nowemu naczelnemu „Przeglądu Sportowego”. Biada mnie naiwnemu. Zapomniałem na moment, w jakich żyjemy czasach i że „dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane”. Tam, gdzie podejmowano ostateczne decyzje, miałem niskie notowania, wytykano mi ponadnormatywny stosunek do piłki nożnej, własne zdanie, po prostu byłem za bardzo kontrowersyjny. Decydenci i ich doradcy mieli zupełnie innych faworytów, stawiali na Stefana Rzeszota i Jerzego Zmarzlika.

Jurek akurat wrócił z Monachium, gdzie był olimpijskim attache prasowym i teraz oczekiwał na równie korzystną propozycję. Natomiast Stefan zdjęty niedawno z naczelnego „Sportowca” trafił do „Przeglądu Sportowego”, gdzie był wyraźnie w cieniu Jucewicza. Pierwszy etap w wyścigu o szefostwo w tygodniku wygrał Rzeszot. Już był w ogródku i... hucznie żegnał się z „Przeglądem”... Mnie zaproponowano, bym został jego zastępcą lub sekretarzem redakcji. Odmówiłem, miałem inne plany i większe ambicje. Bezrobocie mi nie groziło, bo już miałem dwie atrakcyjne oferty pracy, jedną ze „Sportu” Katowice, kierowanym wówczas przez Andrzeja Koniecznego i drugą z PAP-u, gdzie znaczącą postacią był Włodzimierz Źróbik. Na razie pisywałem do „Wiadomości Sportowych” kontynuatora LZS-owskiej wersji „Przeglądu Sportowego” i wielu innych redakcji.

Przepychanki trwały. Drugi etap wygrał Zmarzlik, ale wyścig się nie kończył. Ja czekałem. Najbardziej czuły na moją postawę był prezes PZPN, Stanisław Nowosielski. Któregoś dnia, zaprosił mnie i red. Mieczysława Szymkowiaka na obiad do restauracji „Retman” na Mariensztacie:

– Mam ciekawą propozycję. – zwrócił się do Szymkowiaka. – Widzę cię na funkcji sekretarza generalnego PZPN. Co ty na to Mieciu?

– Co to, to nie! – zachnął się Miecio. – Już kiedyś byłem urzędnikiem w sporcie i PZPN... To nie dla mnie posada... Jestem i nadal będę dziennikarzem!...

Gdy kelner przyniósł drugą półlitrowkę, prezes niezrażony pierwszym niepowodzeniem, rozlał „po małym” i teraz mnie indagował. Mówił wolno i nieśmiało, jakby obawiał się kolejnego afrontu.

– Jest nowa kandydatura na redaktora naczelnego tygodnika... Grzegorz... Stefan, ten ze „Sportowca”... Znacie go dobrze... Jurek ma być jego zastępcą, a Mietek... sekretarzem... Co wy na to?

Byłbym szalony, gdybym odrzucił taki wariant współpracy. Toż to było nasze wspólne marzenie! Najpierw nieśmiało w 1959 na turnieju UEFA w Bułgarii, a potem już znacznie odważniejsze w roku 1962 w Rumunii. A jednak takie rozwiązanie też nie wszystkim odpowiadało. Najbardziej zdziwiony był red. Krzysztof Blaut, który właśnie „uciekł” ze „Sportowca” przed Witkiem Duńskim do „Przeglądu Sportowego”.

– Stefan i ty?... W jednej redakcji?... Na zbliżonych funkcjach?... Dłużej, niż dwa-trzy miesiące ze sobą nie wytrzymacie... Jeden mądrzejszy od drugiego...

To dobry znak. Odebrałem to bez większych emocji, jeno jako opinię „obaj kompetentni”. Żadnego z nas do tego zawodu w teczce nie przyniesiono. Mamy za sobą studia dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim i specjalizację sportową w Akademii Wychowania Fizycznego. Każdy, z myślą o dobru piłkarstwa, a nie tylko o własnej karierze – już od dawna robił swoje. Kontrakt zawarty. Na

dwadzieścia lat! W tamtych czasach był to ewenement na skalę krajową... Rozłączył nas dopiero nowobogacki Marek Profus uchodzący za piłkarskiego menedżera i tytułujący się w naszym tygodniku redaktorem naczelnym. Na jednej z uroczystości jubileuszowych „Piłki Nożnej” (zgrywał się czy nie miał rozeznania?), wyliczając co najmniej „mendle zasłużonych” dla pisma, w ostatnim zdaniu przypomniał sobie, że „pracowali tam również Grzegorzycy i Lechowski”. O tempora! O mores!...

Echa złotego medalu olimpijskiego nadal były głośne i mobilizujące. PZPN po 8 latach przerwy, na początku 1973 roku zorganizował w ośrodku sportowym „Zawiszy” Bydgoszcz kolejną unifikację nauczania gry w piłkę nożną. Wymagały tego następujące zmiany w systemie gry i zdobycze taktyczne mistrzostw świata w Anglii i Meksyku. Londyn wskazał kierunek na „uniwersalizm” i „grę wszystkimi siłami”, a Meksyk twórczo te idee rozwinął. Szczególnie mocno zaakcentowano tam pojęcie „uniwersalizmu ograniczonego” i rolę „libero” w zespole piłkarskim.

Reprezentowałem w Bydgoszczy, jeszcze w imieniu miesięcznika „Piłka Nożna”, bardzo wąskie grono dziennikarzy. Już wtedy takie szkoleniowe „pierdoły” powoli rodzących się redakcyjnych skandalistów nie interesowały. Ja przeżyłem chwile szczególne: na pierwszej unifikacji w roku 1958 w Chylicach siedziałem cicho, jak Niemiec na tureckim kazaniu, na kolejnej w Zakopanem już byłem dużo mądrzejszy, a teraz oficjalnie pracowałem w „komisji taktyki”. Potwierdził to i pochwalił doktor Jerzy Talaga w jednej ze swoich publikacji książkowych „**Taktyka gry w piłkę nożną**”. Pasjonowała mnie przede wszystkim funkcja „libero” we współczesnym piłkarstwie.

Unifikacja w Bydgoszczy zbiegła się z pracami PZPN nad „**Projektem zmian systemu organizacyjno-szkoleniowego**”. W Warszawie i Bydgoszczy zrobiono wiele, aby nasze piłkarstwo nadążało za światowymi trendami i poziomem oraz

systematycznie umacniało swoją dotychczasową pozycję. Nad Wisłą i Brdą odważnie starano się w ówczesnej rzeczywistości ukazać w miarę nowoczesną wizję polskiego futbolu. Postawiono na młodzież. Podjęto starania, zmierzające do jednoczesnego szkolenia dwóch reprezentacji „Orląt”, tej już tradycyjnej do lat 23 i nowej Under – 21. Dla obu zaplanowano sporo spotkań międzynarodowych. Zapowiadano, że owoce tego projektu możemy zebrać już na Olimpiadzie w Montrealu. Może też przestaną ginąć talenty, od lat zmora naszych boisk?

Bliskie zmiany w „Piłce Nożnej” zasygnalizowaliśmy w błyskawicznej ankiecie „JAKI CHCESZ MIEĆ TYGODNIK?”, a czas miesięcznika pożegnaliśmy trzema materiałami publicystycznymi: **„Bydgoszcz – unifikacja 1973”**, **„Rodzi się polski styl gry”** i **„Z perspektywy Wembley – spojrzenie na Cardiff”**. Unifikacja do rangi szczególnie wysokiej podniosła rolę taktyki (tu dostrzeżono największe rezerwy). W nowym brzmieniu definicja tego pojęcia niewątpliwie stała się bardziej przystępna i zrozumiała nawet dla przeciętnego kibica. Taktyka jest to połączenie i wykorzystanie w grze umiejętności technicznych, wysiłków oraz zalet indywidualnych i zespołowych wszystkich zawodników. Pozwala to na osiągnięcie zamierzonego celu zgodnie z wcześniej przyjętymi założeniami i w stosunku do zaistniałej sytuacji na boisku.

Mecz Anglia – Walia w Londynie oglądali trener Kazimierz Górski i jego asystent Jacek Gmoch. Selekcjoner więcej uwagi poświęcił obserwacji piłkarzy walijskich, natomiast asystent „wziął na tapetę” podopiecznych Alfa Ramseya. – Zespół Walii okazał się znacznie lepszy, niż można było przypuszczać – stwierdził Górski. – Wielka bojowość, nieustępliwość, twardość, szybkość, kondycja i – co zasługuje na specjalne podkreślenie – dobrze zorganizowana obrona i konsekwentnie realizowana taktyka. W Cardiff w meczu z Polską Walijszczyki zapewne zagrają inaczej, odważniej, ofensywniej, a potrafią to James i Toshack. Musimy poszukać drugiego stopera o walorach Gorgonia...

– Anglicy grali na Wembley bardziej ofensywnie – podkreślił Gmoch. – Keegan obok Chiversa i Marsha był trzecim napastnikiem. Poza tym wszyscy pomocnicy i boczni obrońcy byli nastawieni na atak. Jednak Anglicy grali w sposób za mało urozmaicony, powiedziałbym nawet schematycznie. Przy dobrym bramkarzu Walii, Sprake gra górą mijają się z celem. Ale w sumie niemal wszystkie walory drużyny Alfa Ramseya są formatu światowego. Nawet w Polsce nie będzie łatwo z nią wygrać...

## NARODZINY TYGODNIKA „PIŁKA NOŻNA”

Zbliżała się runda wiosenna sezonu 1972/1973, a wraz z nią „rynkowy debiut” tygodnia „Piłka Nożna”. Najpierw ukazał się numer próbny, dostępny tylko wąskiej grupie zainteresowanych, spełniał typową rolę pilotażową. Tę swoistą forpocztę przyjęto dość chłodno. Głównie grono działaczy łasych na pochlebstwa uznało, że „próbniak był nadmiernie neutralny, jakiś taki nihilistyczny, w domyśle – za mało miejsca, uwagi i zasług poświęcił zwłaszcza kierownictwu Polskiego Związku Piłki Nożnej”. To kłóciło się ich zdaniem, z formułą afirmującą „pismo PZPN”.

W centrali piłkarskiej chętnie widziano by tygodnik wyłącznie jako swoją tubę, natomiast w redakcji takie rozwiązanie musiało by zrodzić uzasadniony sprzeciw. Ograniczało by dziennikarskie inicjatywy i swobodę wyrażania myśli. Na szczęście, w komitecie redakcyjnym był klasyczny remis: trzech członków ścisłego kierownictwa pisma zmagало się w dyskusjach nad kształtem pisma z trzema przedstawicielami PZPN. W tej fazie profilowania tygodnika większych różnic nie było. Argumenty za pismem o charakterze społecznym, adresowanym głównie do Czytelnika, były zdecydowanie mocniejsze i ważniejsze, niż zaspokajanie ambicji i „widzimi się” niektórych związkowych narcyzów.

Opinia redakcji, którą na zewnątrz reprezentowali: Stefan Grzegorzczak, Jerzy Lechowski i Mieczysław Szymkowiak była jednoznaczna: w pierwszym już oficjalnym numerze deklarowaliśmy piłkarstwu: WSPÓŁDZIAŁANIE, WSPÓŁTWORZENIE i POMAGANIE. Odpowiedź prezesa PZPN, Stanisława Nowosielskiego też była czytelna – POWODZENIA!

Wspólnie rozpoczynamy kolejny rok działalności... Musimy razem walczyć o poprawę poziomu polskiego piłkarstwa... Tygodnik „Piłka Nożna” będzie przedstawiał rzeczywistość taką jaką ona jest – nie szczędząc ani pochwał ani krytyki.

Również w tym tonie utrzymał swoje „Pierwsze credo” w „Laurach i chłostach”, wybitny krytyk filmowy, publicysta i felietonista, Krzysztof Mętrak: ... „Chciałbym w tym felietonie formułować „na gorąco” takie obserwacje, wyrażać głos kibica zaangażowanego, który tu i ówdzie dostrzeże jakieś absurdy, niedociągnięcia i śmieszności, gdzie indziej zaś wzory godne poparcia”. Wszystkie tu zaprezentowane zobowiązania staraliśmy się rzetelnie wypełniać przez dwadzieścia lat kierowania tym pismem.

Beniaminek z reguły cieszy się nieco większymi względami niż stary wyjadacz, rutyniarz, gracz już powszechnie znany i... zgrany. Zadbano więc o nasz wizerunek w kraju i zagranicą, wszak dopiero „wchodziliśmy” na rynek. Początkowo w RSW „Prasa” wyrażono zgodę na obsługę nawet spotkań międzypaństwowych naszych juniorów z Węgrami w Budapeszcie, z Holandią w Veendam i z RFN w Osterode koło Getyngi. Od lat było to moje ulubione zajęcie. Teraz też dostrzegłem i wypromowałem na łamach kilku przyszłych reprezentantów Polski: Zdzisława Kostrzewę, Rudolfa Wojtowicza, Janusza Kupcewicza, Zdzisława Rozborskiego i Zdzisława Kapkę.

Nie miał też żadnych kłopotów red. Mieczysław Szymkowiak z wyjazdem do Cardiff na mecz z Walią z cyklu eliminacji mistrzostw świata. Jednak debiut w roli sprawozdawcy tygodnika, Mietek miał nieudany. „Biało-czer-

woni” przegrali z Walią 0:2. Tego można się było spodziewać. Nasz pierwszy korespondent z Cardiff, były bramkarz Wisły Kraków i drużyny piłkarskiej z Brygady Karpackiej we Włoszech i na Bliskim Wschodzie, Stanisław Gerula przestrzegał: „**Zapomnieć o miękkiej grze!**”. Niestety, większość naszych reprezentantów tak dobrej pamięci w tym meczu nie miała. Dostrzegł to coach Walii David Bowen:

...Polscy piłkarze są niezwykle groźni, gdy mają dużo miejsca do gry, swobodę ruchów. Wówczas ich fantazja, umiejętność improwizacji mogą popsuć szykii najlepszym. Agresywnie atakowani, naciskani przez przeciwnika, zmuszeni do twardej walki tracą znaczną część swych niewątpliwych walorów...

Właśnie w Cardiff nasi zawodnicy napierani przez Walijszyków gubili się w sposób wręcz żenujący. Antidotum na pressing jest powszechnie znane: trzeba grać szybko, dynamicznie i być w stałym ruchu, starać się w ten sposób uwolnić spod opieki przeciwnika. Wychodzić na wolne pozycje! Nie ma czasu na stopowanie piłki, trzeba ją zgrywać (podawać) bez zatrzymywania. To jedno rozwiązanie. A drugie? W klubach należy szkolić się w walce z partnerem (szeroko mówił o tym Lubański), we współczesnym piłkarstwie nie ma racji bytu „gra bezkontaktowa”. Tak Włodek rozumiał wówczas swoją pracę w Górniku, podobnie w Legii doskonalił swoje umiejętności Robert Gadocha. Tylko ich dwóch chwalił po tym meczu trener reprezentacji Anglii, Alf Ramsey.

Kazimierz Górski przed meczem z Walią zaufał głównie złotym medalistom olimpijskim. Nadal jednak poszukiwał kandydatów na grę w bramce, w kwarcie obronnym i na prawej pomocy. Bramkarza „odkrył” ponownie – Jan Tomaszewski w Cardiff grał dobrze i odważnie, a w pomocy powoli aklimatyzował się kolejny debiutant z Mielca – Henryk Kasperczyk. Nie do końca zostało jednak wyjaśnione wyjściowe ustawienie zawodników: – Grać czwórką w pomocy i dwójką w napadzie (1+4+4+2), czy trójką w drugiej linii i trójką w przo-



dzie. W obu wariantach niepodważalne były pozycje: Deyny, Kasperczaaka, Lubańskiego i Gadochy.

Takie w każdym razie było moje zdanie. Wielu „okazjonalnych znawców” widziało to inaczej, między innymi nie doceniono zalet Kasperczaaka: – To typowy piłkarz na polską ligę i nie powinno się go odrywać od rodzinnych stron. Wyraźny, choć na razie tylko lekki przytyk, pod adresem trenera Górskiego. Znacznie mocniejszy zarzut dotyczył bzdurnej – moim zdaniem – tezy, że „nie należy zmieniać zwycięskiej drużyny”. Tego rodzaju opinie miały wskazywać na przyczyny przegranej z winy trenera. Tymczasem Górski, nie chcąc być niewolnikiem utartych kanonów personalnych i taktycznych, nadal eksperymentował. Naiwnie pytano: – Dlaczego w Cardiff nie zegrali ci wszyscy zawodnicy, którzy w Monachium zdobyli złoty medal?

Publicznie odpowiedziałem lansującym tezę „nie należy zmieniać zwycięskiej drużyny”. Należy i to z kilku powodów: chęci wprowadzenia do zespołu nowych wartości, wyeliminowania z niego najsłabszych względnie już wyeksploatowanych ogniw, dania szansy piłkarzom rozwojowym i nowocześnie szkolonym. Zła jest tradycja gloryfikująca piłkarzy wyłącznie o znanych nazwiskach. Jednak najważniejsze w tych prawdach oczywistych jest stałe doskonalenie umiejętności i klasy zespołu jako całości. Złota jedenastka z Monachium nie może być „świętą krową”.

Jednym z „pewniaków” w drużynie Górskiego był stoper Jerzy Gorgoń, ale problemów w obronie wciąż było sporo. Po pierwsze, kto ostatecznie ma grać na flankach, para Wisły Szymanowski – Musiał czy mieszanka opolsko-zabraska Gut – Anczok? Trener był zwolennikiem powoływania pod broń tandemów lub nawet całych formacji klubowych. Miał też swoich ulubieńców, ale nigdy nie powoływał ich do reprezentacji na kredyt. Sprawdzał formę największych faworytów. Ufał im, ale nigdy, nawet w ulubionym „wariacie ryzyko”, nie promował

w ciemno. Decyzję podejmował dopiero po serii gier kontrolnych. Zanim więc Tomaszewski i Kasperczak pojawili się w Cardiff, wcześniej w Łodzi z powodzeniem wystąpili w meczu z USA.

Największe kłopoty miał Górski z optymalnym ustawieniem pary środkowych obrońców. Poszukiwał najlepszego partnera dla Gorgonia. Zastanawiał się też, jaką faktycznie rolę w środku obrony ma spełniać stoper Górnika – „wymiatacza”, tak jak w macierzystym klubie czy „libero”? Początkowo trener miał zamiar powierzyć tę funkcję Bernardowi Blautowi. Wtedy Gorgoń byłby li tylko „forstoperem”. Rozwazał też możliwość gry dwoma środkowymi obrońcami w linii. Ostatecznie przeważała wersja „libero”. Dla wielu naszych szkoleniowców nadal była to „tabula rasa”, dla niektórych wręcz „terra incognita”. Z zainteresowaniem wysłuchali więc mojej krótkiej prelekcji na ten właśnie temat podczas unifikacji w Bydgoszczy.

Zachęcony takim obrotem sprawy postanowiłem, zapraszając do współpracy red. Mieczysława Szymkowiaka i trenera Andrzeja Strejlaua, opublikować na łamach tygodnika „Piłka Nożna” przystępny esej na ten temat. Pytaliśmy „*Co to jest libero?*”. I w miarę posiadanej wiedzy staraliśmy się odpowiedzieć: – **Picchi + Suarez = Beckenbauer. TO WŁAŚNIE LIBERO!** Zapoznaliśmy Czytelników z genezą pojęcia i funkcją tego typu zawodnika w drużynie, następnie omówiliśmy czysto fachową stronę zagadnienia, wreszcie – wskazaliśmy klasycznych wówczas „libero” w drużynach zagranicznych i... kandydatów do takich zadań w reprezentacji Polski.

Funkcję libero narzuciło życie, rozwój taktyki. Sporo elementów takiej gry można było dostrzec już w zakresie obowiązków środkowych pomocników w systemie „gry otwartej” MW czyli „dwóch obrońców”. Później, w systemie WM czyli „trzech obrońców”, pojawił się Alfredo di Stefano. Był prekursorem funkcji libero w wersji ofensywnej. Nominalnie grał na środku ataku,

ale w praktyce pole jego działania było znacznie większe. Stał się zawodnikiem zbliżonym w sposobie gry do drugiej linii. Później podobne zadania w Interze Mediolan i reprezentacji Hiszpanii wykonywał Luis Suarez, a jeszcze później Anglik Bobby Charlton.

W Interze, w okresie jego największej świetności (lata 1963-1965), było dwóch „wolnych” zawodników. Każdy grał inaczej. Armando Picchi operował bliżej bramki. Był niewysoki, ale skoczny, szybki, doskonale się ustawiał. Bezpośrednio nie „krył” nikogo, cofnięty działał za obrońcami, asekurował ich, korygował błędy, był ostatnią instancją przed własną bramką. Ograniczał się do destrukcji. Kiedy przejął piłkę, natychmiast przekazywał ją Suarezowi. Następowало płynne przejście z obrony do ataku. Luis był wówczas generalnym dyrygentem Interu, reżyserem większości akcji ofensywnych. Podziwiałem go w meczu Polski z Hiszpanią. Aż wreszcie na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pojawił się Franz Beckenbauer. Zaczynał jako napastnik, podczas mistrzostw świata w Anglii grał w pomocy i wkrótce wyrósł na nowoczesnego libero! To znaczy był solidnym obrońcą jak Picchi i twórcą „wyrozumowanego ataku” jak Suarez. Robił więc za dwóch!

Piłkarz FC Bayern Monachium był wtedy (i jest do dziś!) wzorem praktycznej realizacji tego novum taktycznego. Nominalnie zajmował pozycję za linią obrony, zatem podobnie jak „wymiatacz” był ostatnią ostoją w jej działaniach. Na tym jednak nie kończyła się jego rola. Po przejęciu piłki stawał się zawodnikiem atakującym. Najpierw wspólnie z Netzerem konstruował akcje, a potem najczęściej sam kończył je strzałem. Wszak był wcześniej napastnikiem! Taki był sens i wymóg tej taktycznej nowości. Libero z racji swego wysokiego wyszkolenia technicznego, dotychczas niespotykanej wszechstronności i dużego zmysłu taktycznego, potrafił w konkretnej sytuacji na boisku być więc obrońcą, pomocnikiem i napastnikiem.

To, co piłkarstwu zaoferował Beckenbauer, było zdaniem wielu znawców piłkarstwa trudne do osiągnięcia dla przeciętnego piłkarza. To musiał być geniusz futbolu. Doskonały piłkarz Brazylii z lat 1958 – 1962 Didi, powielając opinię ówczesnego prezesa Brazylijskiej Federacji Piłkarskiej, Jao Havelange'a, uważał, że *„tacy piłkarze są z nieba na ziemię zsyłani przez Boga”*. Leonidas, Pele, Tostao, Rivelino, Garrincha, Jairzinho...

– Libero w dawnym stylu – dowodził Didi – przeżył się, ale gra taka, jaką teraz demonstrowuje Beckenbauer, jest dopiero w powijakach. To futbol przyszłości... Za geniuszem Niemca pójść inni...

W tamtych czasach jedynym w Europie środkowym obrońcą, który był bliski nowatorskiej gry „cesarza Franza”, nazywanego przez Anglików „pełnym libero”, był Rosjanin Albert Szesterniew. Niewiele mu ustępował Horst Blankenburg (też Niemiec) z Ajaxu Amsterdam. Trener Helmut Schoen marzył nawet o wykorzystaniu ich obu w reprezentacji Niemiec. A u nas? Nie wyszło z Blautem, więc Górski słusznie postawił na Lesława Ćmikiewicza. Jednak Polakowi do miana „pełnego libero” brakowało kilka centymetrów wzrostu, trochę większej wagi, a przed mistrzostwami świata w NRF także zdrowia. Z zawodników najmłodszego pokolenia sporo takich atutów dostrzegliśmy u Janusza Kupcewicza. Ale to była melodia przyszłości.

Cykl artykułów „To właśnie libero!” zakończyliśmy zaproszeniem do dyskusji. W imieniu Mieczysława Szymkowiaka i Andrzeja Strejlaua wyraziłem uzgodnioną opinię, że:

... „Nasze publikacje, rzecz zrozumiała, nie wyczerpują problemu. Uważamy je tylko za inspirację do dalszej rzeczowej dyskusji na ten temat. Zapraszamy do niej każdego (działacza, trenera, zawodnika), kto jest w stanie wzbogacić naszą dotychczasową wiedzę o libero. Oczekujemy na listy!”.

Korespondencji było sporo, ale koncentrowano się w nich głównie na podziękowaniach dla autorów za podjęty trud i w miarę przystępne omówienie tego

zagadnienia. Poza tym dotarły do redakcji dwie dość obszerne publikacje, właśnie twórczo uzupełniające nasze spojrzenie na funkcję libero. Pierwszy interesujący głos w tej sprawie zabrał Jacek Gmoch, asystent trenera Kazimierza Górskiego i jako drugi nasz ówczesny kolega redakcyjny, trzydzieści lat później redaktor naczelny dziennika „Życie”, red. Tomasz Wołek. Oto najcelniejsze ich uwagi:

**Jacek GMOCH:** ... „W drużynie Interu z lat 1964 – 1966 dominowały dwa warianty z graczem wolnym w defensywie tzw. libero – jako wymiataczem za trzema obrońcami i jako wymiataczem za czterema obrońcami. Pierwszy wariant stosowano najczęściej, kiedy drużyna grała u siebie i nastawiała się na atak, a drugi na wyjazdach. W obu przypadkach tym wolnym zawodnikiem był Picchi. Polskie drużyny z małym opóźnieniem wprowadziły podobne ustawienie. Jedną z pierwszych była warszawska Legia z okresu 1967 – 1969, trenowana wówczas przez Jaroslava Vejvodę. Wiernie skopiowała system stosowany przez Inter, a rola libero (wymiatacza) przypadła mnie... Wcześniej, niż w zespole wojskowym, taki wariant taktyczny zastosowała reprezentacja Polski w remisowym (1:1) meczu z Anglią w Liverpoolu, a doskonałym wymiataczem był Stanisław Oślizło. Dziś można powiedzieć, że istnieją dwie pozycje libero – wymiatacz linii obrony i wymiatacz linii pomocy.

**Tomasz WOŁEK:** ... – **Od Bauera do Beckenbauera**”: ... „Bauer był pierwszym brazylijskim obrońcą, który w sytuacji, gdy jego drużyna wykonywała rzut różny, „podkradał się” pod pole karne przeciwnika i nierzadko celną „główką” zdobywał bramkę. Już tu należało by upatrywać w nim prekursora nowego atakującego stylu gry... Brazylijczyk Jose Carlos Bauer grał w Sao Paulo na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych... Przełomem w jego karierze stał się rok 1950, kiedy to faworyzowany zespół Brazylii uległ w finale MŚ nie docenionemu Urugwajowi. Po mistrzostwach Bauer doszedł do wniosku, że stoper też musi się włączać do akcji atakujących. Nie rezygnując więc z klasycznej pozycji stope-

ra, coraz częściej angażował się w poczynania ofensywne... Obok Bauera tylko Urugwajczyk William Martinez i Argentyńczyk Nestor Rossi położyli podwaliny pod południowo-amerykańską wersję libero. Myślą i praktyką wyprzedzili swą epokę o wiele, wiele lat...

Głos w sprawie „libero” był dla Jacka Gmocha li tylko typowym tematem rezerwowym, natomiast priorytetem pełne rozpoznanie reprezentacji Anglii. To miało pomóc Górskiemu, który nie bez kłopotów budował zespół na Wyspiarzy. Po przegranej z Walią w Cardiff tylko zwycięstwo nad niedawnymi mistrzami świata prolongowało nasze nadzieje na awans do finałów Weltmeisterschaft 1974. Optymalny skład naszej jedenastki wciąż nie był znany, głównie z powodu kontuzji Zbigniewa Guta, Zygmunta Anczoka, Jerzego Gorgonia i Lesława Ćmikiewicza. Całkowita pustka w środku obrony. Towarzyski mecz z Jugosławią (2:2) nie pozbawiał optymizmu, ale – w świetle tak dotkliwego uszczerbku w kadrze – nie pozwolił na pełną i obiektywną ocenę drużyny. Z trzech formacji polskiego zespołu w spotkaniu tym najmniej zastrzeżeń miałem tylko do napadu. Gadocha i Lubański byli zdecydowanie najlepsi.

Szczególnie pilnie w pojedynku z klasowym zespołem Jugosławii obserwowałem grę Jana Tomaszewskiego i zawodników z drugiej linii. Bramkarz – komentowałem – powoli umacnia swoją pozycję w reprezentacji... okrzepł, nabył doświadczenia i większej pewności siebie. Okres załamania psychicznego spowodowany jeszcze w okresie gry w Legii i przykrym dla niego meczem z NRF, ma już chyba bezpowrotnie poza sobą. Nie ponosi winy za utratę bramek. Należy za to obciążyć obu środkowych obrońców. Z pomocników forma Deyny nadal pozostawia wiele do życzenia. A czy można sobie wyobrazić bez tego zawodnika dobrze grającą reprezentację? Trenera Górskiego razila postawa całej formacji: – „Słabo spisała się druga linia, zwłaszcza Kasperczak. Chyba trzeba będzie spróbować innych wariantów”...

Kolejny mecz towarzysko-kontrolny przed Anglią był już wygrany. I partner podobny – Irlandia. Powtórzyć 2:0 w Chorzowie z armadą Alfa Ramseya, to dopiero byłby sukces! W „Piłce Nożnej” sugerowaliśmy, żeby zaufać złotym medalistom z Monachium. Dlaczego właśnie im? Bo tak prawdę powiedziawszy, zdecydowana większość „odkryć” wiosny 1973 reprezentowała tylko nasz poziom ligowy. Ponad to wyrastał tylko Włodzimierz Lubański. Cały czas reprezenował wysoką klasę i dobrą formę. Przed grą z Anglią do lidera reprezentacji koniecznie muszą dołączyć Kazimierz Deyna, Jerzy Gorgoń, Lesław Ćmikiewicz i Robert Gadocha. Bez nich lub z nimi w słabej formie z Anglią wygrać się nie da!

Ten pesymistyczny ton nieco osłodziła przeciętna gra Wyspiarzy w towarzyskim meczu z Czechosłowacją. W Pradze na Letniej był nasz specjalny wysłannik Antoni Piontek i stwierdził, że „Anglicy nie zachwycili” i że „dopisało im szczęście”. A jednak zremisowali! Taki wynik w Chorzowie też by ich w pełni zadowolił. Trener Górski był bardziej wstrzemięźliwy w ocenie: „Anglicy zagrali w Pradze ulgowo... Jedynie Bobby Moore wypadł tak, jak można było tego oczekiwać”.

– A co ty o tym sądzisz? – spytałem Jacka Gmocha.

– W zeszłym i tym roku oglądałem Anglików pięć razy. Cały czas grają niby tak samo, jednak pewne zmiany są tu widoczne. Dotyczy to głównie obrony. Ramsey organizuje „strefę” już na połowie boiska, a krótkie krycie na 25-30 metrów przed własną bramką... Nie ma jednak lidera w zespole na poziomie Bobby Charltona. Jest więc w rozterce – grać w ustawieniu 1+4+4+2 czy 1+4+3+3? Nas w Chorzowie, niczym nie zaskoczy.

– To znaczy?

– Nie będziemy w tej bitwie bez szans. W meczach Anglii z Walią i Szkocją dostrzegłem luki w angielskiej obronie. W pierwszej fazie gry z reguły nieco słabiej prezentuje się Bobby Moore. Ma już swoje lata, ale wciąż chce się po-

kazać z jak najlepszej strony... Inicjuje akcje ofensywne... Nie zawsze udanie... Tu właśnie widzę szansę dla Lubańskiego. Włodek musi na to czyhać, starać się przechwycić piłkę! I kto wie, może celnie strzelić...

Podobno najtrudniej być prorokiem we własnym kraju, a jednak Gmoch przełamał i tę barierę. Tak, jak powiedział, tak się stało!... Drugą bramkę dla Polski, decydującą o wygranej 2:0 zdobył właśnie Lubański, po akcji, jaka od dawna śniła się Jackowi po nocach. Sen stał się jawą! Taktyczny pojedynek z kapitanem reprezentacji Jej Królewskiej Mości wygrał Polak! Wystąpiło w tym meczu 12 naszych reprezentantów. Nikt niczego nie spartaczył, wszyscy grali na piątce! Najwspanialej Lubański i Deyna!

Włodek... Zbędny jest dłuższy komentarz o walorach tego zawodnika. Wielki piłkarz, wspaniały sportowiec. Pomógł drużynie w ciężkim boju, aczkolwiek nie zawsze wdawał się w uporczywe pojedynki z Mac Farlandem (to też duża sztuka!), jednak zawsze go absorbował, a także asekurował środkową strefę Bobby Moore'a. Wygrał z nim cudowny pojedynek i zdobył przepiękną drugą bramkę. Okpił też bramkarza Shiltona. Mecz okupił kolejną kontuzją...

Przyzwyczajaliśmy się do tego, że Deyna jest królem środka boiska i dość często z dystansu strzela bramki. Wtedy najbardziej rzuca się w oczy, błyszczy. W meczu z Anglią Deyna grał nieco inaczej, ubezpieczał drugą linię, zwłaszcza w okresie dużej przewagi Wyspiarzy, chwilami przypominał „wymiatacza” linii pomocy. Dobrze wytrzymał mecz kondycyjnie, co pozwoliło mu na swobodne narzucanie takiego tempa i sposobu gry, jakie w danej chwili najbardziej nam odpowiadały. Gerard Cieślik też tak to widział: – „Szczególnie podobał mi się Deyna... Bardzo konsekwentny w realizowaniu założeń taktycznych”.

Kolejnym bohaterem pozytywnym tego meczu był Jan Tomaszewski. Potrafił ubiec i przechytrzyć Petersa, Chiversa i Clarke'a. Ani razu nie dał się zaskoczyć żadnemu przeciwnikowi. Bronił pewnie, czysto technicznie i spokojnie.



Trener reprezentacji ZSRR, Jewgienij Goriański obserwujący ten mecz powiedział, że „Wasz bramkarz był bardziej angielski, niż Anglicy”... Czytelnicy zasympali redakcję listami pełnymi pochwał pod adresem „Tomka”, a ten chętnie na każdy z nich odpowiedział. Główny motyw: „O naszym sukcesie zdecydowała gra wszystkich zawodników. Jeszcze lepiej musimy zagrać na Wembley”...

O nieprzeciętnym talencie Janusza Kupcewicza, syna Aleksandra mojego przyjaciela z Lechii Gdańsk, dowiedziałem się, gdy miał 15 lat. Trochę za namową ojca i moją, już w roku 1972 pierwszy na temat przyszłości Kupcewicza juniora wypowiedział się red. Mieczysław Szymkowiak. Pilnie śledził jego postawę, grę i rolę w drużynie podczas VI Turnieju Przyjaźni w Rumunii. Pisał:

...Nasi juniorzy pozostawili po sobie dobre wrażenie nie tylko dzięki dobremu wyszkoleniu technicznemu, lecz głównie dzięki nieszablonowemu sposobowi gry. Najlepiej prezentowała się linia środkowa. Była popisową formacją naszego zespołu i zapewne najlepsza wśród wszystkich, które widziałem w Rumunii. Największym odkryciem turnieju był niewątpliwie Janusz Kupcewicz. Takiego talentu od czasu pojawienia się Włodka Lubańskiego nie widziałem. Istnieją zresztą między nimi dość istotne analogie – głównie talent odkryty już w tak młodym wieku. Kupcewicz jest piłkarzem uniwersalnym z powodzeniem może grać na każdej pozycji.

Olek Kupcewicz, ojciec Janusza zachęcał mnie, abym w lipcu 1973 roku wybrał się do Krakowa na Ogólnopolską Spartakiadę Młodzieży. Będzie tam on (mieszkał wtedy w Olsztynie) i Wojtek Łazarek, trener reprezentacji juniorów Gdańska, no i oczywiście młody Kupcewicz. Pod Wawel wybrałem się również z dwóch innych powodów: z racji zawodowych upodobań w roli sprawozdawcy prasowego i działacza społecznego, przewodniczącego grupy selekcyjnej (Golan – Lechowski – Szczechowicz) w komisji młodzieżowej PZPN. Był to udany turniej, na dobrym poziomie, zapisałem w swoim notesie 40 juniorów zasługujących na dalszą obserwację. Janusz Kupcewicz grający wtedy w reprezentacji

Olsztyna otwierał tę listę. Grał tak jak już rok wcześniej widział to red. Szymkowiak. W pełni podzieliłem jego opinię.

Nie wszyscy jednak obserwatorzy z PZPN mieli podobne zdanie. Zbliżone listy kilkudziesięciu najlepszych juniorów mieliśmy tylko my dwaj – Janek Golan i ja. U nas wśród wyróżniających się juniorów dwa pierwsze miejsca zdecydowanie zajmowali właśnie Janusz Kupcewicz i... Stanisław Terlecki. Trener Marian Szczechowicz widział to inaczej – u niego obaj zamykali tę listę. Kamuflaż, złe rozpoznanie czy niechęć trenera reprezentacji Polski do tych utalentowanych zawodników? W roku 1973 mieliśmy naprawdę dobrą reprezentację juniorów. A jednak, mimo dwóch efektownych zwycięstw nad Holandią, przegrała eliminacje przed turniejem UEFA w Anglii. We Włocławku i Osterode lepsi okazali się młodzi Niemcy. Miny wyraźnie nam zrzedły. Czyżby podobny los przed Weltmeisterschaft 1974 miał spotkać podopiecznych Kazimierza Górskiego?

„Nic dwa razy się nie zdarza”... Poza tym Górski, to nie Szczechowicz – zapewne znajdzie sposób na Wyspiarzy. Po przegranej w Osterode drużyny z Kostrzewą, Wojtowiczem, Rozborskim, Kapką i przede wszystkim z Kupcewiczem o zbliżających się mistrzostwach świata rozmawiałem z ówczesnym przewodniczącym Europejskiej Komisji Młodzieżowej, profesorem doktorem Karlem Zimmermannem. Był wtedy również członkiem komitetu organizacyjnego X Mistrzostw Świata. Pan profesor mieszkał w Getyndze we własnej willi. Właśnie tam na wielkanocne jajeczko zaprosił szefa naszej juniorskiej ekipy, Stefana Bombę i... mnie. Przy kawie i koniaku Karl Zimmermann chętnie podjął temat przyszłorocznych mistrzostw.

– Jaki jest obecny stan przygotowań do tej wielkiej imprezy? – zapytałem.

– Dziś już większość ważniejszych problemów mamy w zasadzie rozwiązanych. Na początku kwietnia w 208 punktach rozpoczęliśmy przedsprzedaż biletów. Przygotowaliśmy dwa miliony sto tysięcy kart wstępu. Ceny wahają się w granicach od 10 marek na miejsca stojące do 80 na mecz finałowy w Monachium.

– Czy wszystkie stadiony odpowiadają wymogom FIFA?

– Oczywiście! W Monachium, Stuttgarcie, Hanowerze, Hamburgu, Gelsenkirchen, Dortmundzie, Duesseldorfie, w Berlinie Zachodnim i we Frankfurcie nad Menem – wszędzie... Decydujące mecze odbędą się w Monachium.

– Już raz o złoty medal grała tam reprezentacja Polski. Czy znów się tam pojawi? – niepokoilem gospodarza.

– Najpierw musicie wygrać eliminacje. Anglia, Walia... Och, to bardzo solidne i mocne firmy!...

– Nie wierzy pan profesor w „chłopców Górskiego”?... Przegramy eliminacje z Anglią?...

– Myślę, że przegraliście je już w Cardiff... w meczu z Walią. W Monachium widziałem waszą drużynę, grała bardzo dobrze i zespołowo. Prezentowała konkretny futbol, mocno zbliżony do naszego niemieckiego, ale... Nie ukrywam, że teraz ma trudniejszy orzech do zgryzienia. Anglię uważam za jednego z faworytów całego turnieju. Miałaby z Polską przegrać eliminacje? Z drużyn europejskich liczę też na awans: Węgier, Holandii, Włoch, NRD, Bułgarii, Hiszpanii, Szkocji i... ZSRR.

– Polskę stawia więc pan na straconej pozycji?!...

– Tego nie powiedziałem... W meczach z Anglią i Walią będę trzymał za was kciuki. Życzę powodzenia. Walczcie do końca!...

– A kto wygra całą batalię – Europa czy Ameryka Południowa?

– Europa! Oczywiście Europa!... Mam kilku faworytów... Anglia, Holandia, Włochy, no i my, Niemcy. Z krajów zamorskich może z nimi konkurować tylko Brazylia... Ale tytuł mistrza straci!

Sugestie profesora Zimmermanna w znacznej mierze się sprawdziły, jednak w odniesieniu do Anglii, Włoch i Polski okazały się chybione. Dziś można o tym pisać i mówić bez większych emocji, nawet z lekkim przymrużeniem oka, na pełnym luzie, z uśmiechem na twarzy, ale wtedy nie tylko dla nas były

to sprawy superważne. U przegranych mogłyby wywołać istne trzęsienie ziemi. A jednak za sprawą „państwowych amatorów” ze Wschodu Europy Anglia i Włochy za burtą mistrzostw świata! Najpierw w eliminacjach padła Anglia, a potem – już w puli finałowej – Włochy. My śpiewaliśmy „Przeżyjmy to jeszcze raz!”, oni chcieli to wszystko, jak najszybciej zapomnieć.

Podobno przysłowia są mądrością narodów. Z tych złotych myśli dowiadujemy się na przykład – *„miłe złego początki, lecz koniec żałosny”*. Tymczasem w roku 1973 nasi piłkarze całkowicie odwrócili sens tego porzekadła. Mieli „złe dobra początki, lecz koniec radosny”. Po wpadce w Cardiff przyszła wiktoria z Anglią w Chorzowie. Co teraz? Trzeba pójść za ciosem i wygrać rewanżowy mecz z Walią! Eliminacje mistrzostw świata, dalsze w nich losy Anglii, Walii i Polski wyraźnie górowały nad ligową szarżyzną. Zepchnęły na boczny tor zmiany w kierownictwie PZPN i zapowiadaną reorganizację ligi.

## KANCEROWANIE LIGI

Na ligowych boiskach nastąpiła zmiana warty. Już nie Górnik, nie Legia i nie Ruch lecz Stal Mielec sięgnęła po tytuł mistrza Polski. Szło nie tyle „nowe”, ale „inne” w naszym futbolu. Liga nadal była zwariowana, ale dość odległa od jałowej stabilizacji, nieco ambitniejsza, zdolna do zburzenia tradycyjnego układu sił. Znaczną część tej „inności” przypisywali sobie urzędnicy z CRZZ. W Mielcu starano się wykorzystać tę słabość związkowców. Obiecywali, że nad Wisłoką powstanie „polski wunderteam”? Do gry w Stali powoli przymierzał się Andrzej Szarmach. Już teraz było tam sporo reprezentantów Polski: Zygmunt Kukła, Krzysztof Rześny, Henryk Kasperczak, Grzegorz Lato, Jan Domarski... Na wszystkich przychylnym okiem zerkał selekcjoner Górski.